

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 „ — 40 „
1/4 „ — 20 „
1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Wilno i Pomorze.

Synteza — dziełem przyszłych pokoleń.

Zamieszczamy poniżej artykuł, nadesłany nam przez prof. Michała Römera rektora Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie, jako wyraz indywidualnych zapatrywań wybitnej jednostki, mającej dużo do powiedzenia w kwestji stosunków polsko-litewskich, ze względu na swe stanowisko i całą swą dotychczasową działalność polityczno-publicystyczną. Nie znaczy to jednakże, byśmy podzielali w zupełności wyrażone w tym artykule poglądy. Sądzymy, że cechuje je zbyt pesymizm względem roli Wilna, zbyt optymizm względem roli Pomorza w zakresie uregulowania stosunków między Polską a Litwą. Jeżeli obecne pokolenie nic w tym kierunku nie zdziała, to przyszłe wyrośnie w całkowitej obojętności i nie odczuwając zgoła potrzeby syntezy. Czas jest największym jej wrogiem.

Przyp. Red.

Śmierć nie jest tylko nieszczęściem ludzkości, nie jest tylko jej przekleństwem. Śmierć, pomimo wszystko, jest zwycięstwem ciąglem życia właśnie przez nią, jest wielkim błogosławieństwem *oczyszczenia*. Zmiata ona to, co się zużyło i co zabagnia prąd płynny energii twórczej, dążącej w kierunku rozwiązań doskonalszych, niż te, które były zaprojektowane i czynione przez wymierających.

Kościół, kolebka cywilizacji naszej, uczy, że śmierć jest drogą do nieśmiertelności, że tylko przez nią dochodzi ludzkość do Królestwa Bożego, które jest nieskończonością i doskonałością. Przez śmierć też dopiero Chrystus osiągnął odrodzenie i dokonał zbawienia ludzkości. Żeby się odrodzić w doskonałości i zbawić ludzi — *musiał umrzeć*. I śmierć ta była błogosławieństwem, była uwieńczeniem i zamknięciem Jego życia ludzkiego, ale także początkiem błogosławionym nowego procesu wolnego od skaz, idącego w doskonałość.

W dziejach najnowszych naszego rozdwojonego dziś kraju, które nie zostały dziś dotąd zamknięte i pozostawiają przyszłości w spadku problem Wilna — Kowna, próżnobyśmy szukali rozwiązań i nowych kombinacji układu w woli i energii myślowej tego pokolenia i tych ludzi, których czyn to rozdwojenie wykonał. W dobie wielkiego przewrotu, gdy zaistniały warunki do odrodzenia politycznego i odzyskania wolności, ludzie pokolenia współczesnie czynnego syntezy z czynu swego wykrzesać nie zdołali, bo jej w sobie nie mieli. Rozdwojenie psychiczne, wytworzone dziejowo przez z jednej strony dawną ewolucję polonizacyjną kraju, a z drugiej przez nową, acz opartą na prastarych czynnikach podłoża narodowego, ewolucję młodego odrodzenia Litwy, — nie było jeszcze znalazło syntezy w chwili, gdy zaistniały warunki wolności. Coprawda — drugi z tych prądów usiłował utrzymać jedność zewnętrzną. Wszakże pierwszy ją złamał. Z jego to obozu — nie z Polski właściwej — wyszła inicjatywa tego przesądzenia losów państwowych Wilna, która dokonała rozdwojenia formalnego kraju. Z niego wyszedł ten, który tego dzieła imieniem Polski dokonał. I w dwóch rozdartych odtąd częściach jednego dotąd kraju ześrodkowały się siły główne tych dwóch ewolucyj przeszłości: w Wilnie — pierwszej, w Kownie — drugiej.

Po obu stronach kordonu jest żal i tęsknota do zbliżenia, do zasypania rowu, do — zjednoczenia. Trudno bez bólu rozerwać to, co przez wieki było zrosłe. Ból jest i ból będzie. Obie strony winią się wzajemnie, korzysta zaś — trzeci. Korzysta też chce niewątpliwie i ktoś czwarty, a może nastać chwila, że o korzyść swą upomni się nawet piąty. Problem rozdarcia i ponownego zrośnięcia trwa. Ale choć ból i tęsknota są w sercach, to syntezy ani w sercu, ani w myślach jeszcze niema. Gdyby ona była — nie byłoby samego rozdarcia. A gdy jej niema — nic nie pomoże jej szukanie na rzecz odrobienia tego, co się stało, na rzecz rewizji tego, co zro-

biono, na rzecz dróg do porozumienia. Nie porozumią się po fakcie dokonanych ci, którzy faktu dokonali. Ich istnienie samo wraz z całym ich sentymentem żalu i tęsknoty, z całym bagażem ich ideologii, która stworzyła właśnie rozdwojenie, jest przeszkodą do nie przełamania, jest murem do nieprzebycia. Oni są zawalidrogą, ci, co syntezy nie mieli i jej nie mają, bo ona się w czuciu rodzi, a nie przez debaty i konferencje formułuje. Dopóki żywe jest pokolenie, które ponosi winę rozdwojenia, dopóty problem jest na punkcie martwym i mógłby być przesądzony tylko przez jakieś czynniki siły, przez jakieś względy poza niem będące, o ileby one je sforsować zdołały. Ugoda jest w tej płaszczyźnie zgoła beznadziejna. Dopiero śmierć, która uprzętnie to pokolenie bez syntezy, ułatwić może rozstrzygnięcie problemu, jeżeli się potem ta synteza w pokoleniach następnych rozwinie. Gdyby w pokoleniu następnym ona zaświtała, zaś pokolenie poprzednie, które jej nie miało i które było sprawcą rozdwojenia, jeszcze wciąż istniało i ważyło czynnie, to byłoby ono wciąż tylko przeszkodą, tylko balastem w tej potrzebie, byłoby czynnikiem, pętającym energję. Jego żale i tęsknoty, jego bagaż uczuciowy, może bardzo szczerzy nawet, zwiększałby jeno jeszcze bardziej jego rolę ujemną w realizowaniu tego, czego w niem niema. Do nowych czynów brać trzeba ludzi nowych; starzy wodzowie swych metod i uprzedzeń nie zapominają.

Jakkolwiekby—nie konferencje, układy i rokowania dwóch stron powaśnionych, jeno śmierć i wymarcie pokolenia z przed lat 10 czynnego — może stanowić pierwszą i zasadniczą podstawę do jakichkolwiek rozstrzygnięć ugodowych. Coprawda pod jednym względem może się to wydawać paradoksem. Stwierdziłem, że rozdarcie Litwy było skutkiem powstałego poprzednio rozdwojenia psychicznego, które jeszcze nie było w syntezie scalone w chwili, gdy niespodzianie zaistniały warunki obiektywne zdobycia wolności. Wtedy jedna z tych dwóch krajowych stron rozdwojonych, nie godząc się na usiłowanie scalenia wolnego kraju pod egidą drugiej, zerwała rozpoczętą przez tą drugą stronę budowę państwowo-krajową i przez ten czyn, zdołałszy oderwać sporą wschodnią część kraju, dokonała jego rozdarcia. Właściwie i jej także, a przynajmniej jej wodzom, nie chodziło o rozdarcie. Spodziewali się oni połączyć i znów scalić to, co pierw-

rozdarli, ale scalić pod swoją egidą—przez zapanowanie. Długo w tym kierunku działać usiłowali. Nie udało im się to wykonać *manu militari*,—usiłowali to osiągnąć na drodze zabiegów politycznych i dyplomatycznych. Najjaskrawszym epizodem tej akcji były ich usiłowania wytworzenia „Frejsztatu” w Kłajpedzie, niedopuszczenie do wcielenia Kłajpedy do Litwy, usadowienie się tamże, zaszachowanie przez to Litwy Niepodległej w punkcie najczulszym — od morza, i ujęcia jej w twarde kleszcze z obydwóch stron. Dopiero gdy i to się nie powiodło—rozdarcie stało się ostatecznie faktem dokonany.

Ale jeżeli rozdarcie miało w podłożu swoim rozdwojenie psychiczne, nie scalone syntezą, które mogło być przewyciężone na rzecz jedności tylko zapanowaniem strony jednej nad drugą, to czy można logicznie suponować, że wymarcie tego pokolenia społecznie czynnego sprowadzi w warunkach rozdarcia formalnego tę syntezę, której dotąd nie było? Rozdarcie to, zdawałoby się, może raczej pogłębić rów rozdwojenia, nie zasypać go syntezą, tembardziej że owe pokolenie, przeznaczone w pierwszym rządzie na wymarcie, ma jeszcze zachowaną z niedawnej przeszłości tęsknotę do zjednoczenia, ma różne reminiscencje, różne pobudki uczuciowe dawnych stosunków osobistych, przyjaźni po obu stronach i t. d., a wraz z nimi cały ten sentymentalizm zstąpi do grobu i gdzieś zamrze na Rosie i po innych cmentarzach Litwy Wileńskiej lub Litwy Niepodległej. Wszak i dziś spotykają się i gawędzą ze sobą tęsknie prawie wyłącznie tylko ci, których głowy już zdobi siwizna i łysina... Tak by się zdawać mogło. Niewątpliwie jest w tem nieco prawdy, o ile o ciepłe uczucia osobiste chodzi. Ale równie prawdą jest to, że atmosfera tych uczuć nie jest jedyną do ugody i syntezy, a już najmniej do energii myślowej, i że kłótnie w rodzinie są zwykle najzaciejsze i najbardziej namiętne, oraz najbardziej jałowe.

Synteza zrodzić się może w rozstrzygnięciach opartych na przesłankach przedmiotowych, nie zaś tylko podmiotowych. Przesłanki podmiotowe mogą z tamtych wy płynąć, mogą przez nie być wykształcone, jako nadbudowa ideologiczna. Proces ten, jak mi się zdaje, rozwinąć się może skutecznie właśnie w ludziach nowych, o psychice jeszcze nie przeciążonej przeciwnymi czynami własnymi.

Mam wrażenie, że najlepsze rozstrzygnięcie problemu może się znaleźć tylko w zagadnieniu

Ludność niemiecka w dawnym Wilnie.

III.

Jakkolwiek cechy rzemieślnicze u nas zostały zniesione już w r. 1866, przetrwały faktycznie do r. 1903, dotąd bowiem istniała przy zarządzie m. Wilna t. zw. *Remeslennaja uprawa* z obieralnym *głową* na czele. Po klęskach wojen, oczywiście brak dawnych aktów cechowych, istnieją jednak resztki z XVII, XVIII i pierwszej połowy XIX w., które zawierają dużo wartościowego materiału do udziału Niemców w cechowej społeczności m. Wilna.

Zwłaszcza to, co wiązało się z dostatnością i dosytem życia, jak złotnictwo, cukiernictwo, handel towarami kolonialnymi i in. spoczywało najczęściej prawie wyłącznie w ręku niemieckich rzemieślnika i kupca. Oto cech *złotniczy* założony w Wil-

nie już w r. 1495. Najstarsza istniejąca do dziś księga jego pochodzi z r. 1662. Owóż w II. 1662—1796 wykazują te księgi 171 uczniów i 109 towarzyszy sztuki złotniczej narodowości niemieckiej. W II. 1798—1824 liczy ten cech jeszcze 22 uczniów, w r. 1844 19 towarzyszy wobec 7 Polaków! Liczba mistrzów Niemców wynosiła 66. Ten dobrze zniemczony cech posiadał starą kaplicę św. Barbary u św. Jana, strzegł ją i zdołał, nie szcędząc pieniędzy na uroczystości kościelne i konsolacje cechowe.

Cech *stelmachów* jeszcze w r. 1840 posiadał 35 niemieckich mistrzów.

W r. 1795, na rozkaz władz rosyjskich sporządzono ogólny spis rękodzielników m. Wilna i okazało się, że w Wilnie było niemieckiej narodowości: 9 zegarmistrzów (*wszyscy jacy byli*), 5 tkaczy, 18 stolarzy (wobec 26 Polaków), 9 piekarzy (1 Polak!), 5 chirurgów (11 Polaków), 5 rękawiczników (1 Polak!), 16 siodlarzy (1 Polak), 19 krawców (23 Po-

przedmiotem Bałtyku, które od wieków układało stosunki spółzycia ludów i krajów pobliskich i która je układa i układać będzie w przyszłości; ono też kształtuje państwa na naszym terenie regionalnym Północnego Wschodu Europy i przewodzi ich polityce. Jego wyrazem była państwowość dawna Litwy i jego wyrazem stać się musi droga rozwoju tak Polski, jak Litwy. Przez wieki zagadnienie bytowania nad Bałtykiem związane było z walką o panowanie na Bałtyku. Ludy bliższego i dalszego wybrzeża Bałtyckiego w naszym rejonie Europy, ukonstytuowane w państwa, przez wieki wytrzymać musiały bądź nacisk z Zachodu — od świata germańskiego przez Zakony Krzyżaków i Kawalerów Mieczowych oraz zorganizowanej przez nie forpocztę Prus nowych, — streszczający niemiecki „Drang nach Osten” poprzez opanowanie Bałtyku, — bądź nacisk ze wschodu — od ciężkiej masy rosyjskiej, szukającej z dalekich ziem Moskwy i Eurazji wyjścia na morze i szeroki świat zachodu przez Bałtyk. Ludy Bałtyckie litewsko-słowiańskie przez państwa Polski i Litwy (z wyjątkiem zdrady dziejowej Konrada Mazowieckiego, której powtórzeniem byłby dziś związek z Trzecim Rejchem Hitlera) walczyły bądź w kontakcie z Zachodem przeciwko Wschodowi Moskwy i Tatarów, bądź w kontakcie ze Wschodem przeciwko Zachodowi Germańskiemu. Dopóki te dwa naciski z dwóch stron różnych były izolowane — dopóty ludy Bałtyckie żyły i organizowały się siłami własnymi. Na czas pewien zaciążył na tej konstrukcji układu politycznego nacisk trzeci — z północy — od Szwedów. Ale gdy wreszcie ten został złamany, wytworzywszy w pierw zespół dwóch pierwszych, izolowanych po przednio, nacisków ze Wschodu i Zachodu — Moskwy i Prus — twory Bałtyckie — Polska i Litwa — wobec sił połączonych nacisku z dwóch stron — upadły. Sojusz Prus z Rosją zabił Polskę i Litwę, zlikwidował je.

I dopóki sojusz Wschodu z Zachodem — Rosji z Prusami — trwał, dopóty ani Polska ani Litwa powstać nie zdołały. Wszystkie ich rewolucje i powstania zbrojne nic wskórać nie zdołały i były udaremnione. I dopiero w chwili, gdy sojusz ten został zerwany, gdy Wschód z Zachodem w Wielkiej Wojnie stanęły przeciwko sobie, — Bałtyk odżył: Polska i Litwa znów zaistniały obie, a oprócz nich zaistniały jeszcze dwa inne nowe państwa Bałtyckie — Łotwa i Estonia — w dawnych wiekach jeszcze w pierw przez Zachód niemiecki, następnie przez

Wschód moskiewski opanowane i na placówki swe obrócone. Nie zaistniały tylko Prusy odrodzone i wolne, jako spólczynnik wolności Bałtyku; nie zaistniały i nie zostały zlikwidowane, jako forpocztą germańskiego „Drang'u nach Osten” — i to był błąd polityczny zasadniczy w problemie wyzwolenia Bałtyckiego rejonu czy regjonu Europy. Dopóki Prusy istnieją w swojej postaci obecnej — dopóty germański „Drang nach Osten” ma swoją placówkę wypadową na Bałtyk — przedewszystkiem na Litwę — Łotwę — Estonję, ale też w konsekwencji na cały hinterland mazowiecki-polski, wileński, białoruski i bodaj nawet pskowski, — i dopóty Pomorze polskie jest „korytarzem”.

Ze nad Bałtykiem zaistniały państwa wolne — to skutek poróżnienia jego Zachodu i jego Wschodu, poróżnienie, które szczęśliwym zbiegiem układu sił na terenie dalszego Zachodu nie dało zwycięstwa ani stronie niemieckiej ani — dla różnych innych przyczyn — rosyjskiej.

Z Prus Wschodnich Bałtyk osiąść zdołał Kłajpedę — port Litwy. Jest ona kluczem Niepodległości Litwy i jej utrata przez Litwę na rzecz Prus rozciągnęłaby placówkę „Drang'u nach Osten” na całą Litwę, a przez nią „Drang” ten zaciążyłby bezpośrednio na całym Bałtyku, ale razem uczyniłby „korytarz” Pomorski korytarzem jeszcze ciaśniejszym i dla Niemców jeszcze mniej znośnym. Rozumieją to Niemcy i dlatego ten mały kraik autonomiczny Kłajpedy w państwie litewskim zaktualizował się dla nich w tym samym stopniu, co Austria („Anschluss”) i zagłębie Saary. Ani b. zabór pruski w Polsce, ani etnicznie-niemiecka część terytorjum Czech, która jest bardziej niemiecką, niż litewska Kłajpeda ze swą przeważającą ludnością litewską, ani Tyrol włoski, ani Szlezwik duński — nie są ani w przybliżeniu tak w polityce niemieckiej aktualne i żywe, jak mała Kłajpeda. Jej odzyskanie byłoby dla Niemców kluczem do Bałtyku, kluczem więc — nie ludźmy się — i do Pomorza, do Wielkopolski. Że klucz jest mały — to może uspakajać tylko krótkowidzów albo zaślepionych lub też tych, co nie chcą widzieć, bo wzrok woleliby zwracać gdzieindziej, bo ich Wielkopolska i Pomorze mało obchodziły i obchodzą, bo może im naprzykład bardziej się uśmiecha morze Czarne, niż Białe (Bałtyk jest po litewsku morzem Białym). Kluczyk mały otwiera czasem drzwi duże.

laków) i t. d i t. d., razem 158 niemieckich mistrzów.

*

Więcej wiemy o cechu zegarmistrzów, który w r. 1774 oddzielił się od cechu slusarzy, do której to organizacji należał, i otrzymał od Stanisława Augusta potwierdzenie. Oryginał oczywiście polski, ale łącznie z nim jest całkowity przekład niemiecki, który ma tu swoją wymowę. Podobne proporcje liczbowe istniały również wśród towarzyszy sztuki stolarskiej. Dalej w ll. 184—1851 cech kucharzy i piekarzy w Wilnie liczy 43 mistrzów Niemców (2 Polaków!). W roku 1880 księga wykazuje 20 nowych niemieckich mistrzów, a 8 tylko Polaków. U bednarzy do r. 1876 zapisy stałe były prowadzone w księgach po niemiecku, a liczba towarzyszy sztuki bednarskiej Niemców wynosiła równo 80 (na 142 wszystkich). Wreszcie cech szewcki. W ll. 1798—1810 mamy 68

mistrzów Niemców. Księga towarzyszy sztuki szewckiej prowadzona była do r. 1863 po niemiecku, potem narzucono rosyjski.

Jeśli tyle mówią nam o ludności niemieckiej dawnego Wilna *resztki archiwalne*, ileżby powiedziały nam na ten ten temat archiwa wileńskie z przed najścia Moskwy w r. 1655?!

*

Teraz kilka obrazków z wewnętrznego życia cechów wileńskich.

Otóż uczeń złotniczy kończy swą naukę u mistrza i otrzymuje świadectwo, że *wyżej wymieniony Godfryd Springer ukończył rzetelnie lata swej nauki i uznany jest za pomocnika złotniczego*. Uczniowie terminowali 7 lat i tak *ehrlieh* występowali sobie u gospodarza ubranie, otrzymując na to 20 talarów reńskich. Kto chciał zostać mistrzem, musiał wyko-

W tych perspektywach wydzieranie sobie przez państwa Bałtyckie wzajem dzielnic jest grzechem przeciwko sobie. Wielkopolska i Pomorze, równie jak Kłajpeda, — oto są czynniki najrealniejsze polsko litewskiego solidaryzmu Bałtyckiego. Gdy Wielkopolska i Pomorze zaważą na polityce polskiej, gdy do głosu w Polsce przyjdą one — po śmierci wychodźców wileńskich, którzy dziś ten głos mają i swoich koncepcyj uprzednich wyzbyć się już nie potrafią, jak nie może człowiek wyzbyć się pierwiastków zasadniczych swego ducha, — wtedy, jestem przekonany, zaistnieje solidaryzm polsko-litewski. W tym tylko solidaryzmie — nie w układach jałowych kowieńsko-wileńskich w pokoleniu sprawców rozdarcia Litwy — rozwiązany być może problem wileński, rozwiązany solidarnie, sprawiedliwie i z uwzględnieniem obustronnych interesów i celów społecznych.

Solidaryzm nie może oczywiście polegać na stopniowym szarpaniu mniejszego i słabszego na rzecz większego i silniejszego, albowiem na tej drodze z mniejszego niebawem nic nie zostanie i temi metodami osiąga się nie solidaryzm, jeno zgoła coś wręcz przeciwnego. Odbierać przemocą i dziwić się, że ten, któremu odebrano, nie ujawnia serdeczności i nie pojmuje przyjaźni — to albo naiwne albo obłudne. Skądinąd zaś rozwiązanie prolitewskie sprawy mogłoby nastąpić bądź w drodze jakiejś wojny, w którejby Litwa znalazła się w obozie sił zwycięskich, bądź w drodze solidaryzmu, ale wtedy to rozwiązanie, będąc prolitewskim, nie byłoby antypolskim, jak antylitewskim jest jednostronne rozwiązanie propolskie, osiągnięte faktem dokonany zbrojnym.

Śmierć naturalna pewnego pokolenia i pewnych ludzi otworzyć może drogi solidaryzmu i polityki realnej, których nie otworzą sentymenty sprawców tego lub innego faktu dokonanego. Sapienti sat. Na co się tu zdadzą konferencje!

Michał Römer.

Ostrzeżenie z za grobu.

Tegoroczny jubileusz ćwierćwiekowy kongregacji marjanów i świeże uroczystości kowieńsko-marjampolskie, w związku z przewiezieniem zwłok świątobliwego biskupa Matulewicza do domu macierzystego, wysunęły znowu na widownię tę świe-

tlaną postać i przypomniały wypowiedziane przez niego różne uwagi i myśli. Nie sposób narazie zebrać wszystkiego i nie tu zresztą miejsce na to. Więc tylko jedno powiedzenie przytoczę niżej.

Podczas jednej dłuższej a głębszej pogawędki ze Zmarłym, na temat działalności Kościoła polskiego (bo innego u nas naprawdę niema) na Białorusi, b p Matulewicz zamyślił się i po chwili, z właściwym sobie spokojem, powiedział pamiętne słowa: *Ze smutkiem a trwogą myślę o przyszłości Kościoła na Białorusi. Gdy szukam odpowiedniej analogii, przychodzą mi zawsze na myśl Czechy. Dlaczego Kościół w Czechach, jak mówi nam historia, poniósł tak dotkliwie straty, liczebne i kulturalno-polityczne? W pierwszym rządzie dlatego, że był to Kościół niemiecki na ziemi rdzennie czeskiej... Zupełnie to samo na ziemiach białoruskich, gdzie Kościół jest znowu wyłącznie polski... Obawiam się, że przyszłe, może nawet najbliższe już pokolenia świadomych Białorusinów, uprzytomniwszy sobie w pełni wielkość wyrządzonej ich narodowości przez ten stan rzeczy szkody, poczują głęboki żal do Kościoła za wiekową wynarodawiającą politykę miejscowych jego reprezentantów. Następstwem tego, jak wiadomo, bywa zawsze niechęć, obojętność, liczne apostazje (masowe i indywidualne), tendencje do tworzenia Kościoła narodowego i t. d. i t. d. Każdy naród ma bezwzględne prawo do posiadania swego własnego kleru i swego języka w kazaniach i nabożeństwie dodatkowym.*

Powyższych słów biskupa nie wahamy się nazwać proroczymi, nie w sensie biblijnym, lecz skargowskim, co jednak wcale postaci rzeczy nie zmienia, a wagi nie zmniejsza. *Exempla loquuntur.* Polski był Kościół też w Litwie, acz nieco więcej uwzględniona w nim była litewskość, jednak Litwa wydała b. dużo obojętnej i wrogiej kościołowi inteligencji. Nic nie pomogło, że ogromny jej odsetek wychował się na plebanjach, a wykształcił się z kapitału martwej ręki (czytaj: księży). Coś podobnego działo się również w spolszczonej Letgalji, gdzie rządy sprawował ten sam Kościół polski.

Stan rzeczy w Czechach przedwojennych nie jest nieznanym w Polsce, gdzie swego czasu znany konserwatysta ś.p. biskup Karol Niedziałkowski biadał nad nim, pisząc że Czechy idą w ogonie narodów katolickich, gdy pierwsze wśród nich miejsce zajmuje mały liczebnie, a dzielny organizacyjnie naród katolickich Słoweńców...

Dosyć jednak tych reminiscencyj, bo słowa

nie naśladowano *ani żydów, ani burłaków.* Ludzie cechowi posiadali w sobie rozwinięte poczucie honoru, o czym m. in. świadczy skarga uczeni szewców w Wilnie, że mistrze i towarzysze wymyślają im od szelm, głów baranich, ogonów lisich, pozbawionych doświadczenia osłów i t. p.

*

Oczywiście, Wilno nie mogło, jako punkt handlowy, równać się z Kownem, leżącym nad bardziej spławnymi już Wilją i Niemnem, jednak mniejszy kantor handlowy istniał tu, jak również w pobliskich Nowych Trokach i nieco dalszem Krewie. Wzamian za przemożne wówczas w Wilnie wpływy handlowe Zakonu, dozwolono było kupcom wileńskim i naogół litewskim korzystać z portu gdańskiego i załatwiać tam, do pewnej wysokości obrotu, sprawy zbytu

nać t. zw. *Meisterstück*, w tym wypadku puhar, pieczęć i pierścień z drogim kamieniem. Uroczystość kończyła się kolacją. Po mszy cechowej, złotnicy wileńscy urządzali dobrze zakrapianą a wesołą ucztę. Rachunki pozwalają odtworzyć *menu* jednej z nich: tuszona kiełbasa, ciasta, *Danziger Goldwasser*, wódka, piwo, kawa ze śmietanką, *Ochłana* (tak nazywano *Hochländer Wein*), przegryzana serem holenderskim i in. Umiały cechy wileńskie nakładać też kary. Tak, gdy mistrz cechu stelmachów w Wilnie, Chrystjan Kiszling zawinił, przy wykonaniu majsterztyku, jakim był dlań powóz o poczwórnym siedzeniu, miał zapłacić kary 70 florenów.

Cechy dawne wydawały, miast izb skarbowych, swym członkom patenty na otwarcie w Wilnie *Das Wilnasche hochlöbliche Weisz — und Kuchen Losz — Bäcker*, — *Gewerk* lub *Pfefferkuchenbäckerei*. Tępiąc tu fałszerstwo, starszyzna cechowa przestrzegala, by

b-pa Matulewicz nie są akademicką retrospekcją historyczną, lecz tkwią całą mocą swej słuszności przedmiotowej w stanie obecnym, należą do płynnego dziś i bliskiego jutra. Pozornie mógłby kto posądzić piszącego o jakąś ksenofobję, atoli byłby to zarzut całkowicie niesłuszny. Nie dziwimy się ani trochę np., że Holendrzy dokonali reorganizacji kapucynów polskich, Niemcy pracują nad tem u polskich augustynów; że dochodzi upragnionego końca w Litwie stworzenie i zorganizowanie litewskiej prowincji jezuickiej przez jezuitów niemieckich; że posilkują się czasowo pomocą obcego kleru i Łotwa, i Estonia..., lecz w tych wszystkich wypadkach kler narodowościowo obcy pracuje rzetelnie na dobro katolików miejscowych, oddając im usługi niespożyte.

Lecz u nas jest coś wręcz innego! Na ziemiach litewsko-białoruskich w granicach Rzeczypospolitej Polskiej, wyłącznie polski Kościół pracuje, od wieków bez przerwy, jedynie na benefis polskości i poza nią właściwie niczego nie widzi i nie słyszy. Pierworodna córka Kościoła u nas, endecja twierdzi w swojej prasie bez żenady to samo, co i my, że Kościół na Litwie i Białorusi był i jest zawsze polski i tylko polski. Że innego Kościoła tu nie było i być nawet nie może.

Kościół pracuje u nas na wyłączny benefis polskości. Oto przykłady. Kraj pokrywa się po wojnie coraz gęstszą siecią zakonów i zgromadzeń płci obojga. Zdawałoby się, tylko cieszyć się z tego może każdy katolik. A jednak! gdziekolwiek, w miastach czy na wsi powstają przy nich przytułki, internaty i pracownie, z nielicznymi wyjątkami, wszędzie znajdziesz w nich setki sierot i naogół dzieci oraz młodzieży przywiezionej tam zdaleka, wprost z odległych dzielnic państwa. Dzieci te odbierają tu wychowanie i naukę rzemiosł, wtedy gdy dla sierot, i nie polskiej biedoty miejscowej albo zgoła niema miejsca, albo tylko nadzwyczajna protekcja, w drodze łaski, wystarać się może dla niej o kąs. Świeżo dowiadujemy się, że rychło do powiatu wileńskotrockiego ma przybyć z pod Warszawy taka gromada, licząca coś kilkaset dzieci, które mają być rozlokowane za opłatą po domach gospodarzy wiejskich w rejonie Stare Troki—Landwarów—Połuknia—Nowe Troki, przyczem kler katolicki ma zawsze odegrać ważną a czynną rolę w tej robocie, zmierzającej do wynarodowienia elementu rdzennego. Nie będzie żadną za to rekompensatą wysyłanie naszych dzieci pod Skierniewice i Nowy Sącz, bo i to robota naw-

skroś polityczna, a przytem spokojny mieszkaniec Litwy i Białorusi wcale nie żywi aspiracji do jakiegokolwiek oddziaływania na tereny rdzennie polskie, jak nie żywił ich zresztą nigdy.

Od szeregu też lat seminarja duchowne w Wilnie i Pińsku otworzyły swe podwoje dla wszystkich kandydatów, z najdalszych chociażby kresów zachodnich Polski rdzennej i z roku na rok rośnie u nas już nietylko zastęp alumnów pozamiejscowych, lecz i kleru obcego swym duchem, psychiką, obyczajem, akcentem, całym nastawieniem do ludu. Gdy Japonja, Chiny, Indje zwiększają wciąż kadry kleru tubylczego, u nas, w środku Europy kraj wychowuje i kształci kler obcy całkiem ludności miejscowej.

O celach i zadaniach różnych organizacyj już niema co u nas i mówić, bo każda z nich, to nic innego jeno forpoczta polskości ofenzywnej.

Widział to wszystko swym bystrym a wnikliwym wzrokiem b-p Matulewicz, jak też patrzył na początki anemicznej a zakłamanej u nas akcji unijnej, i głęboki umysł pasterza podyktował mu powyższy smutny a prawdziwy horoskop przyszłości Kościoła u nas—drugie Czechy.

P. Kantryba.

Lorentz—Goebbels

Projektem Izby Kultury, lansowanym w „Kurjerze Wileńskim” przez p. Lorentza, zainteresowała się już prasa warszawska. Dzienniki prorządowe powitały go nawet z uznaniem, natomiast „Robotnik” poświęca mu uszczypliwe uwagi. P. K. Czapiński pisze w numerze z dn. 20 b. m. co następuje:

„Nic nie wiemy jeszcze konkretnego—czy naprawdę zostaną stworzone te „Izby”, jaki będzie zakres działania, forma organizacji, no i skąd będą czerpane środki materialne. Należy jednak przypuszczać (na podstawie dotychczasowych faktów i sanacyjnej „Ideologii”), że będzie to dalszy krok ku „sanacyjnemu” monopolowi wychowawczemu, dalszy krok w kierunku umocnienia wpływów własnych, zgłajchszaltowania cudzych. Przypominamy—niedawna ustawa o szkołach prywatnych, towarzystwo „krzywienia” teatru i t. p. A pozatem będą to zapewne posady biurokratyczne dla „swoich”, no—i mobilizowanie „środków obiegowych” dla „swojej” pro-

towarów wileńskich kupcom zagranicznym, głównie bodaj angielskim, holenderskim..., których flagi dominowały wtedy na całym Bałtyku. W tym handlu zagranicznym wyróżnił się w Wilnie przybyły z Rygi wybitny, kupiec wileński Hennicke, którego poznaliśmy już wyżej jako jednego z pierwszych doradców Jagielly. Swą wiedzę i wpływy oraz znaczenie umiał zużytkować na dobro swej przybranej ojczyzny—Wilna.

Jednak Zakon uprawiał tu politykę egoistyczną, która wkońcu zawiodła go, skoro chwiać się poczęła jego moc. W przeciwieństwie doń była pokojowa a oparta na korzyściach kulturalnych i gospodarczych dla Wilna i Litwy, polityka Rygi. W II. 1400—1420 Litwa czuła się już na siłach, by usunąć się z pod wpływów Zakonu, który odpowiedział na to podwyższeniem cel, co znowu było przyczyną środków odwetowych, w postaci uwięzienia zamiesz-

kań w Wilnie kupców niemieckich, sekwestru ich towarów i t. d. Tarcia ta jednak długo w Wilnie nie trwała.

Unja Litwy z Polską nie skierowała na południe orientacji handlowej Wilna, bo Polska towarów litewskich nigdy specjalnie nie potrzebowała, a dróg innych niż lądowe z Litwą nie miała. Więc i po, a raczej mimo Unji Księstwa z Koroną, handel niemiecki w Wilnie i Litwie pozostawał silny i dalej prowadzony był bądź z Hanzą (Greifswald, Szczecin), bądź z Królewcem (mniejszy jednak niż ongi w w. XIV), bądź w końcu na dużą skalę z Rygą, póki ta siłą rzeczy nie musiała w znacznej części podzielić się nim z Lipawą.

Sonderling.

pagandy. Jeszcze krok ku „totalności” państwa; jeszcze jedna biurokracyzacja; jeszcze jedno pominięcie wysiłku społeczeństwa...

Zobaczmy.

Skąd jednak wzięty się te pomysły? No, skądżeby, jeśli nie stamtąd, z pięknej Hitlerji! I „Gazeta Warszawska”, piorunując na polski projekt „Izb”. widocznie zapomina, że przybył on właśnie z tak sympatycznej (dla niej) Hitlerji.

Jak tam wyglądają te „Izby” (Kulturkammer)? Tam one są, jak to się mówi, 100%^o. we, bo glajchszaltują całą kulturę pod strychulec „kultury” Hitlera i Rosenberga.

Czytajmy wpieryw urzędowe „Uzasadnienie” tej niszczyielskiej (dla kultury) ustawy. Chodzi o to, powiada „uzasadnienie”, by „działaczy (Shaffenden) ująć na ich własnych terenach pod kierownictwem państwa w formie jednolitego ukształtowania woli”. „Jednolitość”!—o to chodzi.

Teraz zajrzyjmy do ustawy. Ta ustawa z 22 września 1933 r. (patrz niemiecki „Dziennik Ustaw” Nr. 105) tworzy aż 6 „Izb” poszczególnych (prasa, teatr, radio, literatura etc.). Szczegółów narazie niema. Szczęśliwie podaje dopiero rozporządzenie wykonawcze z 1 listopada 1933 r. (Nr. 123). Jest ciekawsze niż sama „ustawa”. Celem „Izby” jest naturalnie popieranie kultury w „odpowiedzialności za naród i państwo”, oraz wprowadzenie „harmonji” do poszczególnych usiłowań. Wedle art. 4 każdy działacz kulturalny musi (!) być członkiem „Izby”. A teraz (słuchajcie) wedle art. 10 ten działacz zostanie przyjęty do Izby tylko w tym wypadku jeśli jest „pewny” (!?). Tu właśnie sęk! Tylko „pewni” („swoi”) mogą być członkami Izby, inni więc działaczami być nie mogą! Tak powstaje z (rzekomej) walki z „partyjnictwem”—ultrapartyjnictwo. Tylko „swoi” są dopuszczeni. Natura nie prezydentem Izby jest minister propagandy (Goebbels)—art. 11, i ten mianuje prezydentów poszczególnych Izb specjalnych. Każdy „niepewny” (!) członek Izby może być naturalnie usunięty (art. 10), i w ten sposób pozbawiony możliwości działania i tworzenia...

A gdzież wolność twórczości?—zapyta oburzony czytelnik. Jaka wolność? Wszak to faszyzm, który zasadniczo usuwa wolność i monopolizuje „kulturę” tylko dla swej partji.

Zdaniem więc „Robotnika” pomysł Izby Kultury został zapożyczony z Trzeciej Rzeszy, czyli że Goebbels był inspiratorem Lorentza. Jeżeli tak, to „Słowo”, na złość Francji, powinno projekt poprzeć.

Z mego notatnika.

Bratnie dusze.

P. Eugenjusz Lukas, jeden z uczestników „Zjazdu działaczy kulturalnych” uczuł się dotknięty moją charakterystyką zjazdu i w mocnych słowach dał wyraz swemu oburzeniu na szpaltach „Kurjera Wileńskiego”.

Nie znam p. Lukasa ani osobiście, ani z widzenia, ani ze słyszenia nawet. Wymieniłem jego nazwisko, w szeregu innych o brzmieniu nieco egzotycznym na naszym gruncie, na chybił trafił, jedynie w celu podkreślenia, że zjazd zgromadził ludzi

nowych, przybyszów powojennych, a więc nie mających i nie mogących mieć żadnych kwalifikacji do występowania w roli miejscowych działaczy kulturalnych.

P. Lukasa ubodło porównanie do Żołędzia z powieści p. Dobaczewskiej. Ale przecież i Józef Żołędz nie jest typem pospolitego karierowicza. Autorka przedstawiła go jako sui generis ideowca. Chętnie zresztą wierzę, że p. Lukas wziął udział w zjeździe bynajmniej nie w celach korzyści osobistej, ani też przez próżność. Możliwe również, że takich panów Lukasów na zjeździe było więcej. Lecz i tym bezinteresownym wyjątkom można zadać pytanie: czego chcecie, do czego dążycie, jaka idea wam przyświeca? Czy można pracować z pożytkiem nad rozwojem kultury na terenie ziem litewsko-białoruskich, nie znając dobrze ich przeszłości, nie rozumiejąc ich odrębnej struktury, nie orjentując się należycie w stosunkach miejscowych, a przede wszystkim nie czując się związanym z ziemią i ludźmi poczuciem wspólnego obywatelstwa duchowego? P. Lukas podkreśla, że ukończył uniwersytet w Wilnie i że, mieszkając w kraju od dziesięciu przeszło lat, zdołał już do niego się przywiązać. Powtarzam, mogą być wyjątki, ale zasadniczo nie mam wielkiego zaufania do tych sztucznych afektów ze strony żywiołu napływowego. Czyż ci panowie nie mają swoich stron rodzinnych, do którychby wybiegali myślą i sercem? I czy będą tęsknili do Wilna i Nowogródka, gdy awans służbowy przeniesie ich do Lwowa, czy Sandomierza?

Olbrzymia większość owych pretendujących do roli działaczy kulturalnych urzędników i nauczycieli znalazła się u nas przypadkowo, dla chleba i po krótszym lub dłuższym pobycie powedruje dalej. Dzisiaj tu, a jutro tam. Ten i ów może się zaaklimatyzuje i będzie z żalem opuszczał „ziemię pagórków leśnych, ziemię łąk zielonych”, ale ogół? Z radością porzuci „polską Syberję” przy pierwszej sposobności, zapomniawszy o swem przywiązaniu do niej i swem zżyciu się z jej surowymi warunkami.

Nie wierzę w owocność i wartość pracy kulturalnej urzędnika. Będzie miała ona zawsze charakter powierzchowny, pokazowy. Produktem jej będą owe włościanki białoruskie, wożone po całej Polsce i zadowolone, że widziały „polskiego cara”. Nie potrzeba na to zjazdów i Izb kulturalnych. Taki rezultat może p. Lukas doskonale osiągnąć sam, o własnych siłach, siedząc w Nowogródku i nie szukając światłych rad u kierowników wileńskich. Ci zresztą nie otworzą przed p. Lukasem nowych horyzontów. Sądząc z wyurużeń p. Dobaczewskiej w „Kurjerze Wileńskim” (art. „Szkodnicy”) jednym z celów zainicjowanej przez nią akcji ma być walka z litewską ofensywą kulturalną w pow. święciańskim, a więc na terenie etnograficznie litewskim... Innemi słowy przyszła Izba Kultury ma być placówką polityczną, mającą za zadanie wynarodowienie ludności litewskiej. Do tak pojętej misji kulturalnej, muszę przyznać, Żołędzie nadają się, jak nie można lepiej. A p. Lukas na serjo przypuszcza, że mi chodziło o poróżnienie uczestników zjazdu z p. Dobaczewską! Cóż za naiwność!

*

Do artykułu p. Lukasa redakcja „Kurjera Wil.” dołączyła swój przypisek treści następującej: „Jak wiemy od organizatorów zjazdu, podane w „Przegl. Wil.” nazwiska niezaproszonych są błędem. Prof.

Zdziechowski był zaproszony, jest na wsi, prof. Kościółkowski był, p. Uziębło wysłano zaproszenie, również prof. Ehrenkretzowi i p. Nagrodzkiemu“.

Uwaga redakcji „Kurj. Wil.“ przypomina mocno rozmówkę z Olendorfa. Ja zazaczyłem, że w zjeździe *nie brali czynnego udziału* ani prof. Kościółkowski, ani prof. Zdziechowski, ani p. Brensztejn, ani p. Z. Nagrodzki, ani p. L. Chomiński, redakcja zaś odpowiada, że to nieprawda, bo p. Uziębło i prof. Ehrenkretzowi zaproszenia zostały wysłane... „Moja ciotka nie jest chora, ale pies mego sąsiada się wścieki“.

Licz.

Wyspa ukraińska w Wileńszczyźnie.

Różnorodność składu etnicznego naszego kraju jest rzeczą powszechnie znaną. Litwini, Białorusini, Polacy, Rosjanie, Żydzi, Tatarzy, Karaici, jak się okazuje, nie wyczerpują listy mieszkańców Wileńszczyzny. „N. Czas” podaje ciekawą informację o garstce Ukraińców, zamieszkałej w trzech wioskach: Hejszyszki, Ojrany i Natoka w pobliżu linii administracyjnej polsko-litewskiej. Włościanie ci, pochodzący z północnej części Wołynia, zostali tu osadzeni w r. 1902, za pośrednictwem Banku Włościańskiego, celem wzmocnienia elementu prawosławnego i dotychczas zachowali swą odrębność narodową. Teren zajmowany przez wspomniane wsie, obecnie rozkolonizowane, zajmuje około 35 klm. kw. Ludność wynosi około 1000 dusz.

Tu można dotąd ujrzeć narodowe ukraińskie stroje, ozdobnie wyszywane, w których w święta paraduje starsze pokolenie, co przywiozło je jeszcze przed laty z rodzinnych stron. Młodzież ubiera się już po miejsku. Tu słyhać mowę i śpiewy ukraińskie i dotąd zachowały się niezmiennie te same zwyczaje i obyczaje, jakie mieszkańcy odziedziczyli po swych przodkach na Wołyniu. Pod względem oświatowo kulturalnym ludność ta znajduje się na średnim poziomie. Na niższym w stosunku do swych rodaków w ojczystym kraju, lecz na wyższym w stosunku do wiosek okolicznych. Analfabeci stanowią tu około 25%, gdy wśród autochtonów odsetek analfabetów dochodzi do 35 i 40%. Zrzeszeń ani organizacji żadnych niema. Młodzież jednak odczuwa brak jakiegoś oświatowo-kulturalnego ogniska. Jeszcze gorzej doniedawna stała sprawa ze świadomością narodową, czego objawem rażącym jest zupełna obojętność względem ojczystego kraju. Trudno się temu dziwić zważywszy na warunki, w jakich koloniści żyli przed swym przesiedleniem i w jakich znaleźli się następnie, zwłaszcza w czasie wojny i po wojnie.

Stan ten jednakże ulega pewnej poprawie, a przyczynia się do tego w znacznym stopniu wybitna odrębność etniczna kolonistów, która nie pozwala im rozpląnąć się w otoczeniu tubylczem. Odsobnienie to jednakże ma swoją złą stronę, gdyż związki małżeńskie, zawierane wyłącznie we własnym, względnie ciasnym środowisku z biegiem czasu muszą doprowadzić ludność do degeneracji.

Na obudzenie się świadomości narodowej wpłynął bardzo „Kobzarz” Szewczenki, który wędruje z rąk do rąk, z chaty do chaty i jest czytany z równym

zachwytem przez młodzież, jak przez starych gospodarzy.

Uratowanie tej drobnej, zarzuconej daleko od ojczyzny wysepki ukraińskiej stanowi, jak widać, troskę patriotycznej prasy ukraińskiej, ale czy nie będą to wysiłki zmarnowane — to wielkie pytanie.

Biblijografia.

Kalendarz Ziemi Wschodnich na rok 1935. Nakładem Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich. Warszawa 1934.

Może poraz pierwszy ukazuje się w Warszawie kalendarz przeznaczony wyłącznie dla Ziemi Wschodnich. Dla *Ziemi* nie dla *Kresów*. To nie bez znaczenia. W publikacji nie znajdujemy bodaj ani jednej uwagi wrogiej, ani jednej wycieczki przeciwko faktycznym autochtonom kraju, od Drui aż po południową granicę Galicji Wschodniej. Jednak powściągliwość ta bynajmniej nie oznacza jeszcze uznania i pogodzenia się z charakterem narodowościowym Rzeczypospolitej. Zwykła to taktyka rosnącego na sile neonacjonalizmu sanacyjnego, nie uznającego brutalnych, prostolinijnych metod endeckich.

Rzecz cała napisana i zredagowana inteligentnie. Nie nowicjusze tytułem próby, lecz doświadczeni cowboje „Straży Kresowej” ją układali, zamawiając częściowo artykuły w Wilnie i na rubieży wschodniej, częściowo pisząc je w Warszawie, gdzie jeszcze dziś nie brak ludzi, marzących o karierze kulturtregerów. Redakcja *Kalendarza*, we wstępie i naogół, zachowuje postawę dość dyplomatyczną. Zamierzenia swe wypowiada tylko w formie ogólników, unikając ściślejszego ich określenia. Jakże wiele a różnorodnej treści da się włożyć w taką np. definicję przyświecającego *Kalendarzowi* celu: *Rozbudzić pragnienie pracy dla jutra, pracy dla swojej gminy*. Wszystko się tu zmieści.

Ponieważ *Kalendarz* jest niejako wykładnikiem programu T. R. Z. W. (Tw. Rozwoju Ziemi Wsch.), więc pilnie czytamy, jakie ma cele i zadania. Na uwagę naszą zasługują z nich §§ 5 i 9, które kolejno brzmią: *Szerzenie kultury polskiej, obrona i podniesienie kultury regionalnej, organizowanie pracy społecznej, wychowawczej, kulturalnej i naukowej.* — *Organizowanie w centrum państwa kolonij dla dzieci Ziemi Wschodnich.* Niby rozbrajająca szczerość, polityka otwartych drzwi, brak wszelkich tajemnic, atoli wszystko zależeć będzie od jej wykonawców, a jeszcze bardziej od kierujących nimi, budowniczych Solnesów, marzących o szklanych dla nas domach Żeromskiego. Nowością organizacyjną mają być *referenci regionalni*.

W części ściśle kalendarzowej naprawdę na chlubne wyróżnienie zasługują artystycznie wykonane reprodukcje szeregu zabytków architektury. Z tak czystą a piękną robotą niełatwo się spotkać. Zato podobiznom Prezydenta i Marsz. Piłsudskiego zarzucić trzeba wyraźny anachronizm.

Dział informacyjny i statystyczny uwzględnia dostatecznie „Ziemię Wschodnie” i naogół jest obfity. Są w nim nowe pozycje kalendarzowe lub inaczej niż zwykle rozłożone. Tak dział rolniczy nie jest zepchnięty na szary koniec, jak najczęściej bywało dotychczas we wszystkich kalendarzach, lecz

przeciwie zajmuje tu miejsce poczesne. Niema w nim nic banalnego, dyletanckiego, piszą wszystko pióra fachowców i wybitnych znawców. Zajmuje to akurat str. 160, więc prawie tyle, ile stanowi czasem całość innego kalendarza.

Środek książki zajmuje dział, p.t. *Ziemie Wschodnie*, gdzie piszą prof. Kaz. Skórewicz (o Wilnie) i W. Hulewicz (o Wilnie i Nowogródku), naogół dość banalnie. Szkoda tylko, że prezes Związku Literatów Polskich w Wilnie nie zna biografii Syromkomi, każąc mu żyć i tworzyć współcześnie z Orzeszkową...

Wbrew p. W. Hulewiczowi, szczątki zamków litewskich nietylko w Wilnie, Trokach, Lidzie, Kownie, Nowogródku, lecz też w Grodnie, Łucku, Krzemieńcu i in. *całkiem wyraźnie* mówią o dalekim zasięgu wpływów W. Ks. Lit. Przed małżeństwem Jagiełły z Jadwigą, Polska nie była ani tak wielką, ani potężną. Stronniczym się okazał autor artykułu, gdy wymieniając istniejące w Wilnie ośrodki kulturalne, wymienił *tylko* Żydów i Białorusinów, opuszczając Litwinów, jakby nic a nic nie wiedział o Lit. Tow. Nauk., T-wie „Rytas”, prasie litewskiej i t. p.

W artykule St. Lorentza *Bazylika Wileńska* uderzyło na samym wstępie twierdzenie, że Wilenka, przy swem ujściu *dwoma ramionami* wpada do Wilji... Przed laty W. Studnicki w przewodniku po Wilnie pisał też o *dwuwieżowym* kościele Wszystkich Świętych... Dwoi się, jak widać, w oczach badaczy naszej przeszłości.

Dobre są artykuły Izy Mickiewiczowej *Z przeszłości Trok* i Ad. Z. Tańskiego *Szlakiem Mickiewiczowskim*. Sporo jest tu innych artykułów krajoznawczych, dotyczących Wołynia. Na przyzwoitym są poziomie. Szczęśliwą była myśl podania według województw i powiatów krótkich notatek o każdej zabytkowej miejscowości. Ilustracje wyborne.

Lecz oto kończy się dział krajoznawczy i znowu przed nami b. sporne zdobycze kolonizacyjne, wyszczególnione w artykule *Osadnictwo wojskowe*. Współżycie osadników z ludnością miejscową wyraża się, zdaniem autora artykułu, w tem, że w samo rządzie w r. 1933 pracowało czynnie 739 osadników (z czego w gminnym 537, miejskim 33, powiatowym 161, wojewódzkim 8). Mogłoby to coś znaczyć, lecz wiemy, *jak* odbywają się u nas wybory. Idziemy nie w kierunku samorządu, lecz oligarchji. To samo widzimy w zarządach instytucji spółdzielczych, rolniczych, oświatowych..., słowem *mniej więcej ósmy osadnik pracuje na jakimś stanowisku w samorządzie terytorjalnym*. Nowa szlachta.

Jest osobny dział literacki, ale ten pozostawia wiele do życzenia.

Z dużym nakładem sił i środków wydało swój kalendarz T-wo Rozwoju Ziemi Wschodnich. Ale jaką kategorię czytelników mieli wydawcy na względzie? Z mało popularne jest wydawnictwo, by znalazło rozpowszechnienie wśród szerokich kół, zbyt zaś propagandowy ma charakter, by zainteresowało czytelnika inteligentnego. A jak na reklamę — zanadto kosztowne.

A. Soł.

Książki nadesłane do Redakcji.

Księga pamiątkowa Koła Historyków Słuchaczy U. S. B. w Wilnie. 1923—1933. Alma Mater Vilnensis. Biblioteka. Zeszyt III. Wilno. 1933.

Ateneum Wileńskie. Czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości Ziemi W. X. Litewskiego. Rocznik IX (Za r. 1933—1934). Wydawnictwo Wydziału III T-wa Przyjaćłót Nauk w Wilnie. Wilno 1934.

Ruch regionalistyczny w Europie. Książka zbiorowa pod redakcją Aleksandra Patkowskiego. Wydawnictwo Sekcji Regionalistyczno-Krajoznawczej Związku Nauczycielstwa Polskiego. 2 t. Warszawa 1934.

Kon Pinchas mgr. *Z doby Berka na Litwie.* Odbitka z „Księgi Pamiątkowej ku czci Berka Joselewicza. Warszawa. 1934.

Sprostowanie.

Do recenzji o broszurze W. Charkiewicza p. t. „Scypjon ruskii” w № 18—19 „Przeł. Wil.” wkraść się błąd. W wstępie przed ostatnim należy czytać „Przeniesienie” relikwii św. Mikołaja Cudotwórcy”, a nie „Przemienienie”, jak zostało wydrukowane.

Odpowiedzi Redakcji.

P. V. Sak. Pańskie uwagi są spóźnione. O publikacji tej pisaliśmy już przed paru miesiącami.

P. M. N. W zasadzie nigdy nie odmawiamy miejsca na naszych szpaltach głosom polemicznym, chociażby nie zgadzały się one całkiem z poglądami redakcji. Dyskusja jednakże musi być rzeczowa i utrzymana w formie kulturalnej. Nadesłany nam artykuł nie odpowiada tym warunkom. Przyuszczalnie chętnie go wydrukuje „Dziennik Wileński”.

Nakładem

T-WA POMOCY NAUKOWEJ
Im. WRÓBLEWSKICH

wyszła z druku praca

M. BRENSZTEJNA

DIONIZY PASZKIEWICZ

Poeta polsko-litewski na Żmudzi
w pierwszej połowie XIX w.

Skład główny
w Księgarni Św. Wojciecha w Wilnie.

